


***Polemika z tekstem
Nancy Waldmann
„Koniec przeobrażeń?
Dekomunizacja przestrzeni
publicznej w Polsce na Ziemiach
Zachodnich i Północnych
w latach 2016–2017
– wybrane przykłady”***

ROBERT KLEMENTOWSKI

Instytut Pamięci Narodowej/Uniwersytet Wrocławski

 <https://orcid.org/0000-0002-0354-8296>

DOI: <https://doi.org/10.26774/rzz.366>

02/2020/Suplement

**ROCZNIK
ZIEM
ZACHODNICH**



Publikacja dostępna na licencji **Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe**. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorów. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jako właściciela praw do tekstu.

Niezwykle trudno jest toczyć merytoryczną polemikę z tekstem publicystycznym. Opracowanie autorstwa niemieckiej dziennikarki Nancy Waldmann nie jest bowiem tekstem *stricto* naukowym, a raczej emanacją wiary, przekonań, odwołań do własnej i cudzej pamięci. Autorka przyznaje, że nie jest naukowcem, a jak sama zaznaczyła, reportaż nie należy do „instytucjonalnej produkcji wiedzy”. Jako akademik mam nadzieję, że negatywny wydźwięk tego sformułowania jest raczej wynikiem znajomości (czy raczej niezajomości) subtelności języka polskiego czy też przekładu z języka niemieckiego, a nie jest to związane z przekonaniem, że każdy pracownik uniwersytetu to pisarz „nadworny”. Być może są to osobiste doświadczenia Autorki, lecz zapewniam, że w Polsce pensja pracownika uczelni nie jest jeszcze warunkowana tematyką podejmowanych badań. Praca na uniwersytecie, przynależność do wspólnoty akademickiej, ma za to duże zalety. Wypracowane zasady działalności naukowej polecam każdemu, kto ma ambicje zajmować się przeszłością w celu jej możliwie najbardziej obiektywnego zrekonstruowania.

Nancy Waldmann zastanawia się nad trzema zasadniczymi kwestiami: historią, pamięcią zbiorową oraz dziennikarstwem, rozpatrując sposoby i metody pisania o sprawach trudnych i kontrowersyjnych w ramach tych trzech dziedzin. Podejmuje zagadnienie realizacji ustawy dekomunizacyjnej w odniesieniu do Pomorza Zachodniego, w rzeczywistości zajmując się głównie procesem usuwania pomników poświęconych Armii Czerwonej. Nie ukrywa własnej, negatywnej opinii o likwidacji postumentów, starając się przekonać do swoich racji samego czytelnika. Autorka oparła jednak argumentację na fałszywych przesłankach, dotyczących przede wszystkim dziejów Polski i Polaków od czasów II wojny światowej po współczesność, ze szczególnym uwzględnieniem końca wojny. Dlatego też pozwalam sobie zabrać głos w kilku zasadniczych, podjętych w omawianym wywodzie sprawach, nie odnośząc się do opisywanych przez Autorkę konkretnych przypadków.

Przed wszystkim za nadużycie należy uznać sugestię, że istnieje nierozzerwalny związek między uznaniem roli Armii Czerwonej w rozgromieniu potencjału militarnego III Rzeszy a upamiętnianiem wydarzeń wojennych za pomocą pomników. To dwie różne przestrzenie. Pierwsza z nich należy do historii i jest pozbawiona kontrowersji za sprawą udokumentowania i emocjonalnej neutralności. Druga zaś zalicza się do pamięci, gdzie ogromną rolę odgrywają indywidualne i grupowe doświadczenia krzywd i zbrodni – emocje, których nie można ignorować. Nie należy łączyć obu porządków, bo choć na siebie oddziałują, to jednak nie są tym samym.

Kuriozalne z punktu widzenia historii jest stosowanie określenia „wyzwolenie Ziemi Zachodnich”. Ni mniej, ni więcej była to po prostu okupacja sowiecka ziem niemieckich. Czerwonoarmiści wkraczali na ziemie niemieckie i zajmowali je jeszcze długo po zakończeniu działań wojennych. Chcąc zastosować momentami emocjonalny w moim odczuciu ton wypowiedzi Autorki, można tu mówić raczej o wyzwalaniu ówczesnych mieszkańców z życia, mienia i godności. Posługiwanie się pojęciem „wyzwolenia” i związanej z nim sugerowanej szczęśliwości uzyskanej z rąk czerwonoarmistów jest więc w mojej ocenie niewłaściwe. Rzeczywisty obraz przeszłych wydarzeń można zresztą znaleźć w bogatej literaturze przedmiotu¹.

¹ Oprócz wspomnień, publikowanych co najmniej od lat 50. XX w., polecam choćby książkę Joanny Hytrek-Hryciuk „Rosjanie nadchodzą!” *Luźność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948*, Wrocław 2010.

Przyłączenie Ziemi Zachodnich i Północnych do Polski w wyniku II wojny światowej, mające stanowić kolejny argument przemawiający za poczuciem wdzięczności ze strony Polaków wobec Sowietów, było w istocie genialną polityczną zagrywką Stalina i trzeba dużej dozy naiwności, by wierzyć w szlachetne motywacje dyktatora, który swoim działaniem miałby zadośćuczynić polskiej stracie Kresów Wschodnich. W rzeczywistości Polaków nikt nie zapytał, czy chcą takiej zamiany. Powodów, dla których owe ziemie trafiły w polskie ręce, jest zresztą wiele i najmniej zasadne jest założenie, że wynikało to z dobrej woli Stalina. Tędy przebiegał szlak do Berlina, a Armia Czerwona brała udział w wyścigu o pierwszeństwo zajęcia stolicy Rzeszy. Tę oczywistość powtarzano w Polsce nie po 1989 r. i nie w środowiskach demonicznej prawicy, ale jeszcze za czasów rządów komunistycznych. Zdarzało się bowiem, że oświadczenia w podobnym tonie wybrzmiewały nawet podczas posiedzeń komitetów powiatowych PZPR, a więc już wtedy (w czasach rządów autorytarnych) nie miano co do tego złudzeń. Dziwi zatem, że wyraża je osoba, żyjąca już w świecie wolnym, w kraju znanym z prowadzenia *Realpolitik* i nie uznającym politycznych sentymentów. Butami *sołdatów* – celowo odwołując się do pojęcia stosowanego wówczas wobec czerwonarmistów dla podkreślenia ich odmienności, obcości, by nie powiedzieć wrogości – Stalin przesuwiał granicę wpływów swojego imperium. Jego cele były klarowne. W razie zaplanowanego ataku Zachód na mapie geograficznej byłby znacznie bliżej, a na wypadek obrony – państwa późniejszego bloku komunistycznego z łatwością stałyby się bezpieczną strefą buforową. Ponadto zagwarantowałby ZSRR dostęp do złóż węgla, uranu oraz wyrównałby zadawnione pretensje związane z traktatem ryskim, systemem wersalskim i klęską roku 1920. Dodatkowo, skłóciłby Polaków z zachodnimi sąsiadami, których sentyment za utraconymi Kresami był łatwy do rozbudzenia, a w razie konfliktu stawał dyktatora w roli rozjemcy.

Warto także wskazać na oczywisty z perspektywy badacza lokalnego problem nagrobkowych inskrypcji na cmentarzach, na których spoczywają żołnierze. Umieszczone na pomnikach daty często różnią się od dat faktycznych walk, a niektóre z nich sięgają nawet okresu kilkudziesięciu miesięcy po zakończeniu II wojny światowej. Rzeczywiste przyczyny śmierci zostały pogrzebane przez komunistów pod jednym hasłem – poległych w walce z okupantem. Garnizony wojsk sowieckich stacjonowały na Ziemiach Zachodnich do 1946 r. i nie było to przyjazne sąsiedztwo. Przy czym należałoby również odpowiedzieć na pytanie: kto był okupantem Niemców? Obecność wojsk sowieckich na przyłączonych do Polski ziemiach miała ogromny wpływ na pokolenie zmuszone do życia w czasach przełomu wojny i pokoju. Nie bez wpływu pozostawała zapewne obecność sowieckich popleczników w państwie niemieckim.

Autorka sięga obok „wyzwolenia” także po pojęcie: „braterstwo żołnierzy”. Nie neguję możliwości budowania przyjaźni na fundamencie wspólnego, dramatycznego doświadczenia (wojna to skrajne doświadczenie emocjonalne), ale nie mogą zaakceptować pominięcia i nieprzedstawienia kontekstu udziału polskich obywateli w jednostkach sowieckich czy też w 1. lub 2. Armii Wojska Polskiego, czyli zsyłki na Syberię, mord w Katyniu, pragnienia powrotu za wszelką cenę do kraju, indyferentyzmu ideologicznego większości szeregowych żołnierzy, przymusowego wcielenia

do wojska (perspektywa wywiezienia na Wschód za przynależność do Armii Krajowej), zaniechania wsparcia powstania warszawskiego i bierności wobec wymordowania 200 tys. mieszkańców stolicy Polski.

Odpowiedzią na przywołane przez Autorkę „braterstwo żołnierza polskiego i radzieckiego” może być historia mojego dziadka, żołnierza 2. Armii Wojska Polskiego, z którym w dzieciństwie spędziłem godziny na rozmowach o II wojnie światowej. Wśród wielu opowieści znalazła się także ta o pobycie dziadka na późniejszych Ziemiach Zachodnich, kiedy jego oddział złożony z Polaków obsadzał stanowiskami ogniowymi szpital z niemieckimi kobietami dla obrony przed „wyzwolicielami” z czerwoną gwiazdą. W tym kontekście trudno więc dostrzec ową „braterską przyjaźń”.

Na Ziemiach Zachodnich wojskowi osadnicy toczyli z „bratnią” Armią Czerwoną regularne potyczki w 1945 r., broniąc siebie, swoich rodzin i dobytku ponemieckiego, przyznanego im decyzją Stalina. Było to zresztą doświadczenie wszystkich Polaków, bez względu na umiejscowienie w społecznej i politycznej hierarchii. Ofiarami *śódatów* byli cywile, wojskowi, przedstawiciele aktualnych władz, byli AK-owcy i funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, ludowcy spod znaku Stanisława Mikołajczyka i komuniści z Polskiej Partii Robotniczej – to jest właśnie kontekst polskich relacji z Wielkim Bratem i podłoże stosunku do jego „reprezentantów w mundurach”.

Mówiąc o kontekście, nie może zabraknąć także szerszego spojrzenia na omawianą kwestię. Dyskusja nad pewnymi tematami historycznymi, podejmowana dzisiaj w Polsce, a w rzeczywistości tłąca się w przestrzeni publicznej już od czasów transformacji i przez lata niedostrzegana, nie jest tylko problemem lokalnym, przynależnym do społeczeństwa, które nie potrafi podjąć wzbudzającego kontrowersje zagadnienia w cywilizowany sposób – a taki jest właśnie w moim odczuciu wydzwięk artykułu Nancy Waldmann. Z problemem odpowiedniej debaty wokół polityki historycznej mierzą się tak naprawdę wszystkie państwa i wynika to z podobnych przyczyn: podważenia uznawanych dotąd „prawd”, którym zarzuca się przemilczenia, a czasami wręcz zafałszowanie rzeczywistości. Hiszpanie odgrzebują konflikt republikańców z frankistami, Amerykanie kłóćą się o upamiętnienie dzielących ich wątków wokół wojny secesyjnej, Francuzi rozliczają się za gen. Philippe’a Pétaina i los francuskich Żydów, w Czechach trwają spory o postawione niegdyś pomniki, Japonia desperacko odmawia uznania winy za „rzeź nankijską” i inne zbrodnie, Niemcy redefiniują pojęcie odpowiedzialności „zwykłego Niemca” za II wojnę światową (*vide* miniseriał *Nasze matki, nasi ojcowie*) – ta wyliczanka zdaje się nie mieć końca. Wojna pomnikowa w Polsce, dekomunizacja i dezubekizacja, to tylko fragmenty pewnego ogólnoswiatowego zjawiska, towarzyszącego dekompozycji systemu jałtańskiego i nakładającego się na to zjawiska globalizacji, glokalizacji i w końcu trwającej rewolucji technologicznej. W takim świetle przedstawiane przez Autorkę kwestie nabierają zupełnie innego znaczenia. Dzisiejsze spory to oczywisty rewizjonizm, ale dla historiografii jest on czymś naturalnym i powtarzalnym. Jest sprzeciwem wobec historii dworskiej, w którą, w moim przekonaniu, wpisuje się właśnie Nancy Waldmann.

Trudno bowiem w inny sposób odnieść się do kuriozalnego stwierdzenia, że bez Armii Czerwonej nie byłaby możliwa realizacja postanowień jałtańskich. Nie chodzi oczywiście o sam fakt korelacji między jednym a drugim, ale o przypuszczenie,

że można przekonywać Polaków o dobrodziejstwach Jałty. Dla obywateli mojego kraju było to oddanie ich losów w ręce zbrodniczego systemu na kolejne pół wieku. A wystarczyło realizować Wilsonowską zasadę samostanowienia narodów, wycofać wojska na wschód i być może wtedy istnienie pomników Armii Czerwonej nie budziłoby kontrowersji, bo zapewne w takiej wolnej Polsce stawiane by były nie w eksponowanych miejscach przestrzeni publicznej, a jedynie na cmentarzach, stając się swego rodzaju dopełnieniem nagrobków ze szczątkami poległych.

Za kolejne kontrowersyjne sformułowanie należy uznać sugestię, że „po obu stronach Odry” istnieje podobny stosunek do pamięci o roku 1945, wyrażany m.in. w „krajobrazie pamięci”. Faktem jest fundowanie bliźniaczych pomników po polskiej i niemieckiej stronie, ale stawianie tezy, że wiązało się to z takim samym podejściem obu stron do ówczesnych wydarzeń, a zwłaszcza do symboliki Żołnierza Armii Czerwonej², jest niemożliwe do obrony. Jedyną dostrzegalną przeze mnie platformą byłby poziom oficjalnej polityki prowadzonej przez lojalnych Moskwie (ale niekoniecznie pałających do siebie miłością) komunistów z PPR/PZPR po jednej i SED po drugiej stronie granicy.

Autorka ponadto nie zgadza się na postawienie znaku równości między przemocą reżimu komunistycznego i nazistowskiego – ma do tego pełne prawo, lecz trudno traktować czyjąś wiarę za argument w naukowej dyskusji. Oba reżimy były zbrodnicze³. Kolejną różniącą nas kwestią jest świadomość reprezentowania społeczności o odmiennej pamięci zbiorowej okresu okupacji i sytuacji powojennej. Dlatego też obawę, że „dekomunizacja przewróci do góry nogami pamięć o 1945 r. na Ziemiach Zachodnich i Północnych”, przyjmuję z niejakim rozbawieniem. Zastanawiam się nad źródłem, według Autorki, bezwarunkowo słusznego przekonania o istnieniu jednej pamięci. W moim przekonaniu przedstawiane przez Nancy Waldmann poglądy historyczne są (świadomie lub nie) konstruktem stworzonym na potrzeby legitymizacji władzy i systemu reprezentowanego przez ówczesne rządy. Niemców i Polaków w 1945 r. dzieliło wszystko, jak więc mogli stworzyć identyczną pamięć o tym czasie? Nawet na Ziemiach Zachodnich stosunek Rosjan do Niemców i Polaków był odmienny, czego potwierdzenie można znaleźć w licznych dokumentach i literaturze.

W artykule Nancy Waldmann zabrakło ponadto refleksji nad rzeczywistym znaczeniem pomnika – symboliką związaną z lokalizacją, upamiętnieniem przeszłości, które buduje dzisiejszą tożsamość. Nie jest więc obojętne, kto go stawia, z jakim napisem, w jakim miejscu, jak jest eksploatowany. Potrzebę jego istnienia weryfikują towarzyszące mu wciąż rytuały. Osobnym zagadnieniem pozostaje kwestia nadania monumentowi nowego znaczenia. Pomniki zawłaszczają przestrzeń i stanowią narzędzie przemocy symbolicznej, a ich powstanie nie jest jednoznaczne z powszechną akceptacją powodów ich postawienia. Tymczasem Autorka bagatelizuje tę zasadniczą kwestię okoliczności wzniesienia pomnika – inicjatywy i zgody na

2 Zapis wielkimi literami jest związany z określoną symboliką pomników, które nie odnosiły się do konkretnych żołnierzy z imienia i nazwiska.

3 Trudno uwierzyć, że po opublikowaniu dwie dekady temu *Czarnej Księgi Komunistów* i tysięcy innych publikacji ktoś jeszcze może podważać tę oczywistość.

upamiętnienie – zagadnień niezwykle zasadnych w odniesieniu do systemu totalnego, gdzie nic, co publiczne nie było przypadkowe i dowolne, a prym wiodła jedyna właściwa narracja.

Autorka zakłada, że polskie społeczeństwo przyjęło opowieść o przyniesieniu wolności przez Armię Czerwoną i w ramach wdzięczności stawiało pomniki ku czci Armii Radzieckiej. Można by jednak zapytać: o jakich Polakach mowa? Czy o zausznikach komunistycznej władzy, czy może o osadzonych w więzieniach, pozbawionych pracy i wykluczonych z politycznych działań? Nikt nie pytał naszych ówczesnych rodaków o zdanie. Owszem, w polskich miastach odbywały się obchody z udziałem i z inicjatywy komunistycznych władz, wyrażające wdzięczność „wyzwolicielem”, co stanowiło część ówczesnej polityki pamięci historycznej. Inne, nieoficjalne próby upamiętnienia polskiej historii były przedmiotem ataków, i to nie od lat 80. XX w., ale od początku swego zaistnienia w przestrzeni publicznej, jako sprzeczne z oficjalnie przyjętą linią polityczną. Postawy te były szczególnie widoczne w czasach kryzysów politycznych, gdy represyjność systemu pozostawała w chwilowym zawieszaniu, określano językiem propagandy jako fizyczne akty „wandalizmu”.

Wymalowywane na ścianach napisy, ulotki, codzienne rozmowy, listy, dowcipy polityczne, pojawiające się przy okazji wydarzeń Października 1956 r., były rzeczywistym wyrazem stosunku Polaków do „braterskiej” Armii Czerwonej, kiedy to na wieść o ruchach wojsk pancernych w kierunku Warszawy przystąpiono do masowej organizacji i zbrojenia. Owe mniejsze i większe fakty podważają pochodzące z okresu sprzed 1989 r. Wielkie Narracje, do jakich odwołuje się Autorka – o „braterstwie”, „wyzwoleniu”, „Ziemiach Odzyskanych”. Te ostatnie powstawały jako uzasadnienie decyzji politycznych i narzędzie legitymizacji władzy. Dotyczy to także wskazywanych przez Nancy Waldmann intencji erylowania pomników, które są konstrukcją późniejszą, powielaną przez komunistyczną propagandę. Wymienione określenia należały do komunistycznej nowomowy i miały definiować rzeczywistość, narzucać interpretację. Tak należy odczytywać słowa „wyzwolenie”, „wdzięczność”, „braterstwo armii” towarzyszące polsko-sowieckim relacjom.

Nie można także pominąć istotnego zagadnienia stosowanego przez Autorkę języka, za pomocą którego nieadekwatnie buduje narrację i omawia spór wokół pomników. O ile Nancy Waldmann przychylnie wyraża się o obrońcach pomników, o tyle stygmatyzuje ich przeciwników, których określa mianem „prawicowców” i „nacjonalistów”. Zadziwiający jest wyczuwalny brak wrażliwości dla języka i kultury, odmiennego znaczenia słów dla człowieka wychowanego w Niemczech czy w Polsce, innej siły perlokucyjnej. Autorka sugeruje ponadto, że osoby popierające likwidację pomników należy uznać za „prawicowców” – pomijam nieadekwatność stosowania takich pojęć w XXI w. W istocie jest to myślenie totalitarne, orwellowskie. Doskonałym przykładem jest podjęcie przez Autorkę próby wyjaśnienia sformułowania „pomnik hańby” za pomocą porównania do sytuacji w Niemczech. Proszę mi wybaczyć, ale trąci to neokolonializmem. Polityka pamięci historycznej państwa niemieckiego nie musi być wzorem do naśladowania, a porównanie osób używających sformułowania „pomnik hańby” do współczesnych nazistów należy uznać za zabieg nieuczciwy. Czyż bowiem, zgodnie z tym twierdzeniem, każdy kto

jest przeciwnikiem istnienia pomników stawianych w tużpowojennych czasach, jest nazistą? Gdyby kierować się tym tokiem myślenia, należałoby uznać, że każdy krytyk państwa Izrael to antysemita.

Autorka oskarża przeciwników istnienia pomnika w przestrzeni publicznej Szczecina o instrumentalne wykorzystanie losu Kresowiaków. Podobny zarzut można by odnieść do jej poglądów. Zasadna jest jednak propozycja Nancy Waldmann: „Należałoby zbadać zarówno stanowisko wobec Armii Czerwonej Kresowiaków-Sybiraków w różnych fazach II wojny światowej, jak i to, czy zmieniło się stanowisko kresowiaczkich pokoleń powojennych przed rokiem 1989 i po nim”. Aczkolwiek po pierwsze – Kresowiaczy-Sybiracy (trudno zaakceptować tę zbitkę słowną, nie tylko dlatego, że na Syberię wywożono Polaków z całego kraju) nie mieli nic wspólnego z Armią Czerwoną, a w czasie „wyzwalania” Ziemi Zachodnich za sam fakt posiadania polskich korzeni wielu naszych rodaków odbywało karę na Syberii, w Kazachstanie, Workucie. Po drugie należy przyznać Autorce rację i poprzeć apel o potrzebie spotkania z tymi ludźmi i poznania ich punktu widzenia odnośnie do Sowietów. Dlaczego więc Autorka się tego zadania nie podjęła? Jeżeli zabrakło jej na to czasu, być może jest to dowodem na błędnie zaplanowany harmonogram prac badawczych.

Nancy Waldmann wyróżniła grupę obywateli, która opowiada się za pozostawieniem pomników, oraz grupę, która domaga się ich likwidacji. Każda z nich posługuje się istotną z perspektywy Autorki argumentacją, z którą można dyskutować. Mamy więc różnicę poglądów, rzecz naturalną w demokracji, tym bardziej że dotycząca przestrzeni publicznej, należącej do wszystkich obywateli. Konsekwencją opowiedzenia się po jednej ze stron, jak też czyni Autorka, jest zanik obiektywności widoczny w przytoczonych przez nią refleksjach; odwołuje się do emocji, powinna zaś do wiedzy, mimo że pomnik jest miejscem i nośnikiem pamięci opartej przecież na emocjach.

Zamieszczony w artykule cytat anonimowego Sybiraka, który mówi o swoim bracie maszerującym z „radzieckimi żołnierzami” aż do Berlina, ma wywrzeć na czytelniku wrażenie. Uczciwsze byłoby jednak przybliżenie historii także innego Sybiraka, który opowiedziałby o gehennie, jaką przeszli wywożeni na Wschód Polacy przez uzbrojonych i gotowych do strzału żołnierzy sowieckich. Wtedy przedstawiany obraz byłby pełniejszy – samemu zagadnieniu metodologicznego podejścia Autorki, która z fragmentów stara się skonstruować całość zjawiska, można by poświęcić osobny artykuł. Nancy Waldmann przyznaje, że zdecydowała się na omówienie jedynie głośniejszych przypadków. Pytam więc – a może jednak są to wyjątki? Proces likwidacji pomników nie angażuje w opisywanym stopniu współczesnych Polaków, nie ma dla nich większego znaczenia, bo te upamiętnienia są im po prostu obce. I w tym kontekście – nie podzielam poglądu Autorki o pogłębieniu traumy społecznej przez proces dekomunizacji. To właśnie brak rozliczeń z przeszłością prowadzi do sytuacji, w jakiej jako społeczeństwo się znajdujemy – bezradności wobec problemów historycznych. Padają przy tym często ostre słowa i oskarżenia, ale jestem przekonany, że w chwili, gdy już wybrzmia, nikt nie będzie do nich wracał. Współczesne, młode pokolenia mają dużo większy dystans do przeszłości. Niech nikogo nie zwiodą informacje o działaniach radykalnych środowisk, które dochodzą do nas z mediów, gdyż w skali społecznej pozostają one nieliczne.

Z niektórymi sformułowaniami Autorki trudno jest nawet podjąć dyskusję, bo cóż można odpowiedzieć na stwierdzenie, że przeniesienie pomnika na cmentarz zmieni rolę Armii Czerwonej „ze zwycięzcy na pokonanego”? Równie zasadne może być stwierdzenie, że jest to wynik troski o pomnik, którego z szacunku się nie niszczy, a przenosi w uświęcone miejsce. To zresztą rzecz naturalna, że pomniki ku czci poległych stawiane są właśnie na miejscu pochówków. Warto przyjrzeć się, jak owa kwestia rozwiązywana jest np. w Łambinowicach na Opolszczyźnie, gdzie obok siebie zostali pochowani Niemcy, Francuzi, Polacy, Włosi, Rosjanie, Serbowie, przedstawiciele Imperium Brytyjskiego. Nikt nie twierdzi, że to upamiętnienie pokonanych. To upamiętnienie tragicznie zmarłych i taki, w moim przekonaniu, winien być wymiar obecności pomników nacji niezamieszkujących tych terenów.

Muszę z przykrością stwierdzić, że mimo podjętych przez Autorkę starań i przykładanej do pewnych zagadnień troski, odwołuje się ona do dość infantylnego rozumienia historii – powierzchownego, bezrefleksyjnego, a czasami wręcz zabawnego, jak w przypadku bezkrytycznego przytoczenia inskrypcji obrazującej obecność rosyjskiego rycerza pod Grunwaldem, a nawet konformistycznego wobec polityki pamięci historycznej, bliskiej współczesnej Rosji. Widoczne jest neokolonialne podejście, jak w przypadku niedwuznacznego wskazywania własnego państwa jako punktu odniesienia. Autorka, jako cudzoziemka, zdaje się dążyć do wniesienia nieco odmiennej perspektywy – to rzeczywiście szlachetne i czasami ważne, ale wymaga przede wszystkim znajomości i świadomości różnic między losami Polaków i Niemców, zwłaszcza w roku 1945, a także pochylecia się nad skutkami oddziaływania polityki pamięci historycznej, prowadzonej po obu stronach Odry w czasach powojennych, czy odmienności procesu dekomunizacji po 1989 r.

Odmawianie legalnie wybranej władzy prawa do prowadzenia polityki historycznej jest w moim przekonaniu niedopuszczalne. Mogę się z niektórymi ustawami nie zgadzać, ale dopóki nie naruszają one podstaw ładu demokratycznego, swoje zdanie wyrażam przy urnie wyborczej. Ustawa dekomunizacyjna tego nie czyni, a jest jedynie wyrazem określonego stosunku do pamięci historycznej i roli w nim państwa. Obecnie rządzący aktywnie uczestniczą w jej kształtowaniu i stosują rygorystyczne narzędzia (*nomen omen* tak jak każde inne państwo na świecie, z Niemcami włącznie). W tylko jednym miejscu zgodzę się z Autorką – w sposobie przeprowadzenia ustawy dekomunizującej. Jestem zwolennikiem pozostawiania takich kwestii lokalnym środowiskom, które np. w drodze referendum mogłyby zdecydować o charakterze własnej przestrzeni publicznej. Jednak jeżeli państwo ma być sprawne, jego działania nie mogą być sprzeczne z głoszonymi przez siebie poglądami na przeszłość, tożsamość i pamięć.

Czy wojna pomnikowa, jak się często dzisiaj mówi, jest wykorzystywana do bieżących rozgrywek politycznych? Bywa, ale nie umniejsza to zasadności stawiania pytań, które są wciąż aktualne. Jako reprezentant drugiego pokolenia, urodzonego na tych ziemiach, widzę konieczność ich stawiania, zwalczania stereotypów, rozbijania współczesnych mitów, bo uważam, że w dłuższej perspektywie, przynoszą one więcej szkód niż pożytku.

Niesprawiedliwość bierze się z niewiedzy. Podejmowanie tematów związanych z pamięcią zbiorową jest jak najbardziej uzasadnione, wymaga jednak zarówno



wiedzy historycznej, jak i wrażliwości w zakresie tożsamości społeczności, o której się wypowiada. Mając doświadczenia kulturoznawcze, Nancy Waldmann zapewne zna pojęcie „obserwacji uczestniczącej”. Wymaga ono podejścia bez wstępnych założeń, pozostawienia doświadczeń własnej kultury za sobą. Inaczej niewiele się zrozumie z obserwowanego problemu.